

– No dobrze, więc jak już mamusia skończy przytulać Stefcię, to możemy siadać do stołu – powiedziała. – Aga i Pawełek właśnie przyjechali – dodała z anielskim uśmiechem.

A ja gotowałam się na kolejną próbę.

W sumie to szykowałam się w pociągu. I jeszcze miesiąc wcześniej, kiedy mnie podkusiło i sięgnęłam po telefon. Czemu nie poraził mnie prąd? Co ja w ogóle sobie wtedy myślałam?!

Nim zdążyłam się podnieść, rozległ się przeraźliwy pisk, od którego zsiadłoby się mleko stojące w bańkach pod werandą.

W moje ramiona – które wcale nie były wyciągnięte w jej stronę – wpadła Aga. Drobna blondyneczka z roziskrzonymi niebieskimi ślepiami. Podskakiwała jak piłeczka, wrzeszcząc mi do ucha: *Wróciłaś! Naprawdę przyjechałaś!* I tak dalej. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Nie byłam przecież z kamienia. A czasy spędzone z Agnieszką należały naprawdę do szczęśliwszych w moim życiu.

Odsunęłam ją na długość ramienia.

– Tak, Pchelko, przyjechałam – powiedziałam spokojnie, odgarniając kuzynce włosy z oczu. Dziwne. Zapomniałam już, że zawsze tak robiłam, kiedy jej niesforna grzywka wpadała do tych lazurowych oczu. – W końcu nie mogłam opuścić takiego wydarzenia – dodałam szybko, nim zdążyłam się rozmyślić. I najdziwniejsze, że zabrzmiało to wyjątkowo szczerze.

Aga przełknęła, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem. Cóż, ona miała zwykłe szorty i flanelową koszulę, której rogi zamotała u dołu w supeł, a na nogach zniszczone trampki. Do tego rozwiane, sięgające ramion włosy i twarzą upstrzona piegami, całkowicie pozbawiona makijażu. Różniłyśmy się od siebie. Jak ogień i lód. Dla waszej informacji, ja byłam lodową królową.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś! Tak się bałam, że nie zostaniesz moją druhną!

– Chyba *Świadkiem* – upomniała ją ciocia Irenka, która przyniosła talerze i zaczęła nakrywać do stołu.

– *Świadkiem*... – Aga zmięta to słowo w ustach jak przekleństwo, po czym dodała konspiracyjnie: – Za grosz romantyzmu! A druha brzmi tak...

– Romantycznie? – podsunęłam, a moja kuzynka uśmiechnęła się rozanielona.

– Właśnie! Wiedziałam, że mnie zrozumiesz! Pamiętasz, jak kiedyś potrafiłyśmy przegadać całą noc o naszym wymarzonym ślubie?

Tak, pamiętałam aż za dobrze. Miałyśmy wtedy dziesięć i dwanaście lat i jeszcze nie zdawałyśmy sobie sprawy, że świat może nie być tak piękny, jak opisują go w książkach. Marzyłyśmy o hucznym ślubie, z gośćmi liczonymi w setkach, wielkim torcie (minimum czteropiętrowym), sukni ślubnej z trenem na miarę księżnej Diany... A ile nocy przegadałyśmy o naszych wymarzonych chłopakach!

– Cześć, Stefciu – usłyszałam obcy głos za plecami. Stałam jak zmrożona.

Coś się zmieniło. Jakby cały świat przestał oddychać, a ja stałam tam jak ten kołek, patrząc w ciemne oczy Pawła. Bardzo się zmienił od naszego ostatniego spotkania. Mieliśmy wtedy po dziewiętnaście lat i ja wiedziałam, że wyjeżdżam stąd na zawsze. On został.

Przybyło mu parę centymetrów tu i ówdzie. Wyrósł, stał się silniejszy i smuklejszy. Jego rysy się wyostrzyły, ale ciemne włosy nadal zawijały się na karku. Musiałam wbić paznokcie w dłoń, by powstrzymać się od przeciągnięcia palcami po tych kędziorkach. Chyba był tym samym bezkonfliktowym i sympatycznym chłopakiem, jakim go pamiętałam. I w którym się zakochałam.

I nadal patrzył z tym żarem w oczach. Z tymi wesołymi iskierkami, które wabiły swoją obietnicą i miłością... Ale już nie były skierowane na mnie. Aga przysunęła się do Pawła i stanęła na palcach, prosząc o krótkiego całusa. On, działając instynktownie, zniżył się i po cichu skradł jej pocałunek. To było boleśnie... romantyczne.

– No, dzieci, siadajcie – rzuciła ciocia, stawiając na stole pieczoną kaczkę. – Idę po wuja i możemy zaczynać.

Wszyscy, łącznie z babcią, usiedli na miejscach, na których, jak się domyśliłam, zazwyczaj siadali. Gdzie było ich *miejsce*.

– Szproteczko, usiądź tutaj. Niech Irenka raz będzie zwracać gitarę swojemu ślubnemu, a nie mnie – szepnęła konspiracyjnie babcia, a ja w myślach podziękowałam jej, widząc, że Aga z Pawłem siadają po przeciwnej stronie.

Wuj przydreptał w chwilę później, a za nim ciocia, marudząc na temat jego niechlujnego wyglądu. Nałożyła wszystkim porcję pieczonych ziemniaków, kaczki, modrej kapusty, a całość polać obficie sosem pieczeniowym. Może miałam już urojenia, ale zdawało mi się, że mój talerz był bardziej napakowany niż inne.

– Więc opowiadaj, kuzynka, jak Warszawa? Świetne miasto, co nie? – zagadała Aga z ustami pełnymi ziemniaków.

Uważnie przeżułam swoją porcję.

– Warszawa... jak każde inne miasto. Smog, korki, zabiegani ludzie, pośpiech, hałas – wymieniłam na jednym wydechu, co spotkało się z ogólnym parsknięciem.

– Więc teraz jest lepiej, nie? Ciszej.

– Jeśli ktoś przyzwyczał się do hałasu, to cisza jest dla niego zabójcza – wypaliłam szybciej, niż zdążyłam pomyśleć. I prawie natychmiast tego pożałowałam.

Zauważyłam dziwną wymianę spojrzeń między ciocią a Agą i do końca obiadu żadna z nich nie poruszyła tematu miasta. W ogóle nie został poruszony żaden temat z mojego życia. Nie żebym miała coś przeciwko. Jedliśmy albo w ciszy, albo wujek wymieniał z Pawłem uwagi odnośnie zakupu nowego traktora. Przypomniałam sobie, że gdy widzieliśmy się po raz ostatni, Paweł kończył technikum rolnicze w Opcznie. W sumie, odkąd pamiętam, zawsze interesowało go przejęcie gospodarstwa ojca.

Po obiedzie, mimo protestów cioci, pomogłam pozmywać naczynia (nie, nie miała zmywarki, nawet takiej najmniejszej) i wspólnie zaparzyłyśmy kawę. Właśnie szłam zaproponować ją Adze, kiedy z jej pokoju dosłyszałam ich głosy.

– ...i żebyś widział, jak mnie wtedy odsunęła. Słyszysz? Odsunęła! Nie pozwoliła mi się przytulić.

– Kotku, musisz ją zrozumieć. Nie widziałyście się przeszło pięć lat... Licząc ostatnie spotkanie, kiedy minęłyście się w drzwiach.

– I co? Nagle postanowiła być zupełnie obca? – Aga westchnęła przeciągle. – Pawełek, ja tak marzyłam, że wspólnie będziemy się szykować do ślubów. Wybierać sukienki, tort na wesele, usadzać gości, stroić kościół...

– Więc to dlatego dopiero teraz kupiłaś sukienkę? – Paweł zachichotał, a łóżko zaskrzypiało, gdy podniósł się na nogi. – Wiesz, jakie plotki słyszy się na wiosce?

– Tak – parsknęła śmiechem. – Że jestem w ciąży i dlatego kupowałam sukienkę ślubną na ostatnią chwilę.

– Bardzo ładną sukienkę, trzeba dodać.

– Przestań. Nie mów tak przy mamie, bo mi zmyje głowę, że ją widziałeś!

– Obiecuję... chociaż to zabobon. A co do Stefci... daj jej trochę czasu. Ślub za kilka dni. Może do tego czasu odpocznie po podróży, odpręży się, wypocznie.

– Albo znowu ucieknie...

– Dramatyzujesz. Kotku, zostały nam trzy dni. I nic w tym dniu nie będzie ważne. Tylko ty i ja...

Mój żołądek wyrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Jasna cholera!

- Wujku, pożyczysz mi na chwilę samochód?
- Stefcia... coś się stało? – zaniepokoił się wujek, ale mimo to sięgnął do kieszeni spodni.
- Ja po prostu... Muszę coś kupić w aptece.
- Jeśli chcesz, mam apap albo ibuprom?
- Nie, ciociu, to na receptę.

Z kluczykami pognałam do samochodu.

W chwilę później ruszyłam z piskiem opon.

Ale nie klockami, paskami czy silnikiem przejmowałam się w tym momencie.

Musiałam odjechać.

Albo wyjechać. Jak najdalej i najlepiej w cholerę.

Co ja sobie myślałam?! Zjawiać się na progu ich domu, burząc ich cudowne, idealne rodzinne życie, i wchodzić z butami własnej złości, zazdrości i diabli raczą wiedzieć czego jeszcze!

Zazdrościłam im, temu nie mogę zaprzeczyć. Najbardziej zazdrościłam Agnieszce. Łatwo jej powiedzieć, że się zmieniłam. Nie przeżyła tego co ja! Nie straciła rodziców, nie poczuła się jak ostatni śmieć rzucony na drogę, obok którego przechodzą anonimowi, obojętni na krzywdę ludzie. Nigdy nie czuła bólu po stracie kogoś, kto przez lata tulił ją do snu i odpędzał koszmary. Kto codziennie szykował smaczne kanapki do szkoły i komu mogłaś się zwierzyć z każdej, nawet najgłupszej myśli, z każdego nierealnego marzenia, a ten ktoś jeszcze cię dopingował i namawiał do płynięcia pod prąd...

Otarłam łzy, mając głęboko gdzieś, że najpewniej wyglądam jak upiór.

Nikt mi nie może zarzucać, że się zmieniłam. To ja harowałam jak wół, szlifując po nocach pisanie, by stać się najlepszą jeszcze na studiach. Jako jedyna na drugim roku dostałam pracę stażystki w piśmie mojej cioci i wcale nie zawdzięczałam tego *koligacjom rodzinnym* ani mocnym plecóm. Jeśli już, to swoim, bo przez kilka miesięcy byłam dziewczynką na posyłki, zanim pozwolono mi napisać samodzielnie pierwszy artykuł. W czasie, gdy kończyłam studia, pracowałam już na pół etatu w redakcji, a wieczorami pisałam powieści. I nigdy nie rozpaczałam, że doba powinna liczyć czterdzieści osiem godzin! Oczywiście, że się zmieniłam! Zmieniły się moje priorytety, moje plany na życie!

Wielki ślub jak z bajki? Wesele? Tort? Rodzice?! Paweł?! Tak! Zazdrościłam Agnieszce tego wszystkiego!

Bo miała to! Spełniła marzenia o wielkiej miłości i ciepłej, kochającej rodzinie i wcale nie musiała się o to starać!

To bolało najbardziej.

Zatrzymałam się z impetem na wiejskiej drodze w szczerym polu i wyciągnęłam telefon.

– Czego, ofermo? – warknęła Beata. – Jeśli to nic pilnego, oddzwonię wieczorem. Właśnie zamykam numer.

– Jasne. Spoko, zadzwoń, jak będziesz mo...

– Stój, poczekaj sekundę – rzuciła ostro i zasłoniła telefon. – Wynoście się wszyscy, a za godzinę chcę mieć wszystkie poprawki. Tylko bez partactwa, bo jak Vouitona kocham, przypomnę sobie o waszym skrajnym idiotyzmie przy premii świątecznej.

Po drugiej stronie zawrzało jak w ulu i trzasnęły drzwi. Tak, Beata była wymagającą szefową.

– Stefi, co się dzieje? – Jej ton się zmienił. Przed chwilą kipiał agresją i szewską pasją, a teraz... mówiła jak troskliwa matka pochylająca się nad zasmarkanym berbeciem.

– Wybrałam zły moment, składasz numer, więc...

– Nie pierdziel mi tutaj. Zawalili, więc podnieśli mi ciśnienie. Mam pięć godzin, żeby oddać całość do druku, a ci... – westchnęła przeciągle. – Nieważne. Najwyżej zadzwonię, żeby

poczekali z dupą godzinę dłużej. Teraz ty jesteś najważniejsza.

Chyba musiała usłyszeć moje chlipnięcie.

– Kochanie – szepnęła spokojnie. – Powiedz słowo, a po ciebie przyjadę. Tylko słowo.

– Ona jest taka podobna do mamy – załkałam, czując, jak łzy płyną swobodnie po moich gorących policzkach. – Jestem przekonana, że nawet głos miałyby taki sam. Tylko mama lubiła mieć długie włosy i nosiła spodnie. I piekła najlepszą kaczkę na świecie. I zawsze...

– Stefi – przerwała mi łagodnie. – Byłam i jestem najlepszą przyjaciółką twojej mamy. Mnie też jej brakuje, ale ten ból nie jest nawet w połowie tak wielki jak twój. Nie bój się też i nie bój się bólu. To słabość, jasne, ale słabości czynią z nas ludzi.

– To chore, ciociu. Nienawidzę tej zazdrości. Aga ma wszystko, co zostało mi zabrane! Mamę, tatę, rodzinę, korzenie i...

– I Pawła.

Pokiwałam głową, w tym momencie nieświadoma, że Beata mnie nie widzi.

– Kochasz go jeszcze?

– Nie wiem – wyznałam szczerze i po cichu jak wstydliwą tajemnicę.

– Powiem ci coś, skarbie. Kiedy po śmierci twojej mamy zaproponowałam, że się tobą zaopiekuję, wiedziałam, że nie będziesz chciała wracać do Drzewicy. Może popełniłam błąd, bo może wtedy jakoś przyzwyczaiłabyś się do swojej ciotki i nadal byłabyś z Pawłem. Ale chciałam dać ci coś lepszego. Perspektywę. Obiecałam twojej mamie, że cię wykształcę i zrobię wszystko, byś nigdy nie poczuła się samotna. Może to moja...

– Nie, nie twoja. Po pogrzebie mamy byłam w Drzewicy przez tydzień, pamiętasz?

– Pamiętam – zachichotała smutno. – Zadzwoiłaś w nocy i z płaczem zażądałaś natychmiastowego powrotu do Warszawy. Ale wiesz, ponoć największe efekty przynosi terapia wstrząsowa, więc może powinnaś tam zostać z miesiąc...

– Ja tu z trudem panuję nad sobą, żeby nie ukraść wujowi starej skody, a ty mi mówisz o miesiącu?!

– A Księżę Filip?

– Z babcią.

– Ooo, królowa Elżbieta znalazła swojego Filipa.

– Nie śmieć się. Filip zachowuje się jak jej osobisty kocik termiczny.

– Może ty też byś spróbowała?

– Położyć się na kolanach babci? Wiesz, jestem chuda, no ale ważę więcej niż kot.

– Nie to, Stefa! Spróbować się zaadaptować.

– Co masz na myśli?

– Możesz znaleźć jedną osobę, z którą będziesz przebywać aż do dnia ślubu, jakąś twoją dawną znajomą albo koleżankę, i olać wszystko, co się będzie działo wokół ciebie. Albo... zanurzyć się w tym. Wejść do domu wujostwa jak ich siostrzenica, kuzynka, wnuczka, a nie obca osoba. Są twoją rodziną, Stefi. Wesele to święto rodzinne. Paweł to przeszłość dla ciebie, ale przyszłość dla Agi. Jesteście kuzynkami, siostrami i najlepszymi przyjaciółkami z dzieciństwa. Kochacie się. I wybaczycie sobie wiele.

Już tylko jedna łza spłynęła. Uśmiechnęłam się delikatnie, leciutko, czując, jak zaschnięte słone smugi naprężają się na policzku.

– Znowu poprawiałaś kącik porad psychologicznych.

– Nie śmieć się, gówniaro! W psychologii tkwi mądrość narodu i filozofia świata.

Wybuchłam niekontrolowanym śmiechem i padłam na fotel.

Wtedy rozgrzaną twarz owiał mi chłodny wiatr niosący z sobą wilgotny zapach lasu. Jaskółki i skowronki wyczyniały nad ziemią imponujący pokaz akrobacji, a w dole zapłonęły pomarańczowe

lampy na ulicach Drzewicy. Zmierzch wkładał się powoli na okoliczne pola. I cisza... ta ogłuszająca cisza przypominała mi czasy, o których chciałam zapomnieć.

– Dzięki, ciociu.

– Nie nadużywaj tego słowa, proszę. To mnie postarza – westchnęła rozgoryczona. – I jak się teraz czujesz?

– Lepiej – wyszeptałam, zaskoczona tym, że naprawdę tak się czuję.

– Zostaniesz?

– Zostanę. A przynajmniej spróbuję.

– Zaczynaj od nowa. Nie było cię tyle czasu, że nikt niczego od ciebie nie wymaga. Zaczynasz od czystej kartki. I tylko od ciebie zależy, jak ją zapiszesz. Pozwól, żeby poznali nową Stefi.

– Jesteś zajebistą ciocią – wypaliłam.

– Się wie! I wyhacz jakiegoś chłopca pańszczyźnianego! Może znajdziesz tam ten twój wymarzony typ faceta... A swoją drogą, Paweł się wpasowuje?

– Wpasowuje w co? – spytałam niepewnie.

– W twój typ człowieka lasu!

– Jakiego człowieka lasu?! To był typ drwala.

– A drwal co robi? Łowi ryby?

– Dobra, nieważne. Nie, i nie jest w tym typie.

– No i widzisz? Kolejny powód żeby tam zostać! Poznasz jakiegoś zarośniętego faceta w spranej flanelowej koszuli i prujących się dzinsach opinających jego nieziemski tyłek. Zawlecze cię do swojej chaty i uczyni swoją, a co dzień o świcie będziesz wyprowadzać krowy na pole w otoczeniu tych wszystkich urzekających zapachów wsi.

– Beata, jestem teraz kobietą z miasta. Ja już nie chodzę po polach.

– Chyba że miałabyś na nogach huntery – dodała przekornie.

– No tak. W tym wypadku to się z tobą zgodzę. Modnie w każdej sytuacji.

– To moja dziewczynka. Skoro już postawiłam cię do pionu, to muszę kończyć. Zostań w tej całej Drzewicy i pokaż, jak dziewczyna z miasta potrafi się zabawić!

– Rozkaz! – zasalutowałam roześmiana, posyłając całusa w słuchawkę.

– A, i jeszcze jedno, dzieciaku. Jestem z ciebie dumna – dodała poważnie, a ja momentalnie poczułam, jak w gardle rośnie mi gęsia skórka. – I tylko mi nie rycz! A teraz wracaj z tyłkiem do wujostwa, a mi pozwól pracować.

Odgarnęłam włosy z twarzy. Rzuciłam telefon na siedzenie, a dłonie zacisnęłam na kierownicy. Starłam z policzka łzę. Ostatnią łzę, tak sobie obiecałam.

To trudne dla człowieka wyżyć się zazdrości, bo ona podkrada się niepostrzeżenie i ma gorzki posmak. Głośno wciągnęłam do płuc wieczorne powietrze.

– Nic mnie już z nim nie łączy – powtarzałam jak mantrę, biorąc głębokie wdechy. – Dam radę. To już historia. Ogarnij się, Stefi...

*Zacisnę zęby i dam radę.*

I kiedy chciałam przekręcić kluczyk w stacyjce... stary rzęch zdechł.

– Nie – szepnęłam przerażona.

Przekręciłam jeszcze raz – spod maski wybuchł kłęb pary, a silnik zaczął głośno syczeć.

*No, do cholery! To jakiś żart losu czy jak?* – warknęłam w myślach. – *Akurat teraz, kiedy żałuję swojego zachowania i obiecuję poprawę, akurat teraz ty, Boże, musisz mi dać nauczkę! Szkoda, że na lekcje pokory nie mogłeś wybrać jakiejś szosy albo chociaż cywilizowanej uliczki, a nie szczerze pole!*

Wyskoczyłam ze skody, wzniecając tumany kurzu.

– Cholera! – wrzasnęłam, z rozpędu uderzając obcasem w koło starego rzęcha...

i natychmiast zorientowałam się, co zrobiłam.

Miałam gdzieś, czy podziurawię oponę, ale gdybym zarysowała moje ulubione czółenka od Prady, cudem zdobyte podczas tygodnia mody w Paryżu... Oj, rzęch królowałby na najbliższym złomowisku.

– Rzadki widok.

Obejrzałam się przez ramię.

Za mną stało czarne mitsubishi, wersja terenowa, a z fotela kierowcy szczyrzył się do mnie facet. Ale... ożeż ty w cara... Ale jaki facet! Wystarczyło, że zobaczyłam jego twarz i z miejsca go kupiłam.

Ciociu Beatko, wykrakałaś.

W ogóle kiedy on przyjechał? Byłam tak zajęta wkurzaniem się na rozklekotany pseudosamochód i lamentowaniem nad swoim niewydarzonym życiem, że nie słyszałam przejeżdżającego auta?

I dopiero wtedy dotarło do mnie, co ten facet powiedział.

I zerknęłam po sobie.

Jedną rękę miałam opartą o karoserię, a drugą trzymałam na kostce, żeby jak najlepiej widzieć buty. I byłam wypięta.

Niech to!

Wyprostowałam się jak struna, prawie, ale tak minimalnie się zataczając.

– To chyba stwierdzenie nie na miejscu – odpowiedziałam z całą dumą, jaką jeszcze miałam.

Parsknął.

Wysiadł ze swojego auta i stanął przede mną, beczelnie prezentując się w całej okazałości.

Był wysoki.

*Oj, ciociu...*

Na tyle, że w moich niebotycznych szpilkach sięgałam mu zaledwie do ramion. Umięśnionych i barczystych ramion. Jego kraciasta koszula podwinięta była do łokci, przez co mogłam podziwiać jego smukłe, acz umięśnione przedramiona z imponującą siateczką żył. I jego dłonie...

Jak to się mówi? Wystarczy spojrzeć na dłonie mężczyzny, żeby się dowiedzieć, jaki ma *interes*?

Więc oświadczam wszem wobec, strzelając w ciemno. Ten koleś na mur beton miał między nogami ósmy cud świata.

Jego przydługie blond włosy były związane na karku, a apetyczna kwadratowa szczęka nosiła ślady kilkudniowego zarostu. Oczy miał przesłonięte czarnymi okularami – pilotkami, identycznymi jak te, które nosił Tom Cruise w *Top Gun*.

Tak, ten widok sprawił, że zmiękły mi kolana.

– Mówiłem o samochodzie. Rzadko spotka się taki zabytek nawet na wiejskich polskich drogach.

Eeee... O czym on mówił?

Gdyby nie to, że moja oburzona podświadomość tupnęła zawzięcie swoją czerwoną szpilką, z miejsca spisałbym swoje dziewictwo na straty. Pierwszy raz w moim krótkim życiu płęć przeciwna wywarła na mnie tak piorunujące wrażenie.

– Więc... podziwiał – wyjąkałam skołowana. Na Boga, opanuj się, dziewczyno! Podnieść majtki z podłogi! – Bo ten zabytek, czy jak to tam nazywasz, zaraz trafi na złom.

– Awaria?

– Nie. Po prostu to moje hobby tkwić w szczerym polu, gdzie wokół nie ma żywego ducha – sarknęłam, przewracając oczami. Nie mogłam się powstrzymać.

Jego zmysłowe wargi wygięły się w rozbrajającym uśmiechu.

– Ludzie chorują na różne dziwactwa.

– A ty? Zawsze włączysz się bocznymi drogami i natrafiasz na stare, rozkraczające się muzea na kółkach? – rzuciłam odważnie, wypychając brodę do przodu.

Pochylił się nad maską, z której przestała unosić się para. Teraz coś tam dziwnie posykiwało.

– Zabytek muzealny, mówisz? Nie jest z tobą aż tak źle – skomentował, chichocząc pod nosem. – Nie jesteś stąd.

To nie było pytanie. To było stwierdzenie.

– A skąd możesz to wiedzieć? – odparłam buńczucznie. – Tu się urodziłam.

– Poważnie?

– Po co miałabym kłamać?

Wzruszył ramionami, wracając do oglądania silnika.

Trocka, opanuj się. On tylko dotyka tego złomu.

Właśnie... dotyka.

Prostując się, otarł ręce o wierzch spranych dżinsów. Obszedł mnie i usiadłszy za kierownicą, pobudził silnik do życia.

Tak!

W tym momencie miałam ochotę oświadczyć się temu zaradnemu i przystojnemu mężczyźnie. Wysiadł z samochodu i dopiero wtedy zauważyłam, że ściągnął okulary.

Miał prześliczne oczy. Niby niebieskie, ale tak ciemne, że niemal czarne, otoczone wachlarzem długich rzęs. Niejedna kobieta zabiłaby, żeby móc do końca życia wpatrywać się w te piękne ślepia.

Stanął przede mną i wyciągnął rękę.

Uścisnęłam ją i poczułam... to.

To, o czym pisałam i czego najbardziej chciałam, no i czego się bałam.

Prąd.

Na chwilę moje serce stanęło.

– Jesteś mi winna dychę.

– Co?

– Mogłem się nie zatrzymywać – dodał pospiesznie, unosząc brwi.

Żałowałam, że nie ma przy mnie Księcia Filipa. Jak nic nie powstrzymałabym go, gdyby wpił swoje wypielęgnowane pazury w nogę tego aroganckiego dupka.

– Wyjaśnisz mi, dlaczego myślałeś, że nie jestem stąd? – warknęłam nieprzyjemnie, wciskając mu dziesięć złotych wyjęte z kieszeni spodni.

– Nogi.

– Że co proszę?

– Żadna dziewczyna nie ma takich nóg. Wiesz... To rzadki widok.

Moja szczęka z rozmachem uderzyła w utwardzoną ziemię, a zęby potoczyły się daleko, aż na pole.

– Sądziłam, że miałeś na myśli tego grata.

– To wpadło mi w oko później.

Byłam totalnie, zupełnie odmóżdżona.

Nigdy wcześniej nie spotkałam tak pewnego siebie, zadufanego w sobie dupka... który wyglądałby jak model-bożyszczce samego Armaniego.

Stanowczo pociągnęłam za włosy mentalną mnie, która zdążyła zaślinić buty Pana Wolno-Mi-Wszystko.

– W takim razie, skoro wskrzeszenie tego rzęcha kosztowało mnie dziesięć złotych – oświadczyłam śmiertelnie poważnie, pojedynkując się na spojrzenia z tym przystojnym dupkiem –

to muszę wycenić swoje atuty.

– Tak? – zainteresował się żywo, a jego oczy zapaliły się niezdrowo. *Oj!* – W takim razie, ile jestem ci winien?

– Może się zdziwisz tym oklepanym tekstem, ale chyba cię na mnie nie stać.

Jego oczy pociemniały, przybierając kolor burzowego nieba, a ja mimowolnie przygryzłam dolną wargę, uciekając wzrokiem. Niemrawy podmuch wiatru wyrwał mi pasmo włosów spod warkocza, tak że okręciło się wokół mojego nosa.

Przystojniak wyciągnął rękę, chwytając je zgrabnie, by owinać wokół swoich seksownie długich palców. Z trudem zdusiłam jęk, gdy dotknął mojej skóry. A konkretnie to ucha. Jednak ciała nie mogłam oszukać; na mojej skórze pojawił się dreszcz.

Przełknęłam.

Głośno.

– Coś mi się wydaje, że jeszcze się spotkamy. – Błysnął swoim uśmiechem wartym milion dolarów i założył okulary, po czym dodał niskim głosem: – Na razie, *małeńka*.

O mój...

I odjechał. Tak najzwyczajniej w świecie mnie zostawił. Rozpaloną i dygoczącą.

Niezdrowo podnieconą. Po raz pierwszy.

Na to powinien być jakiś paragraf!